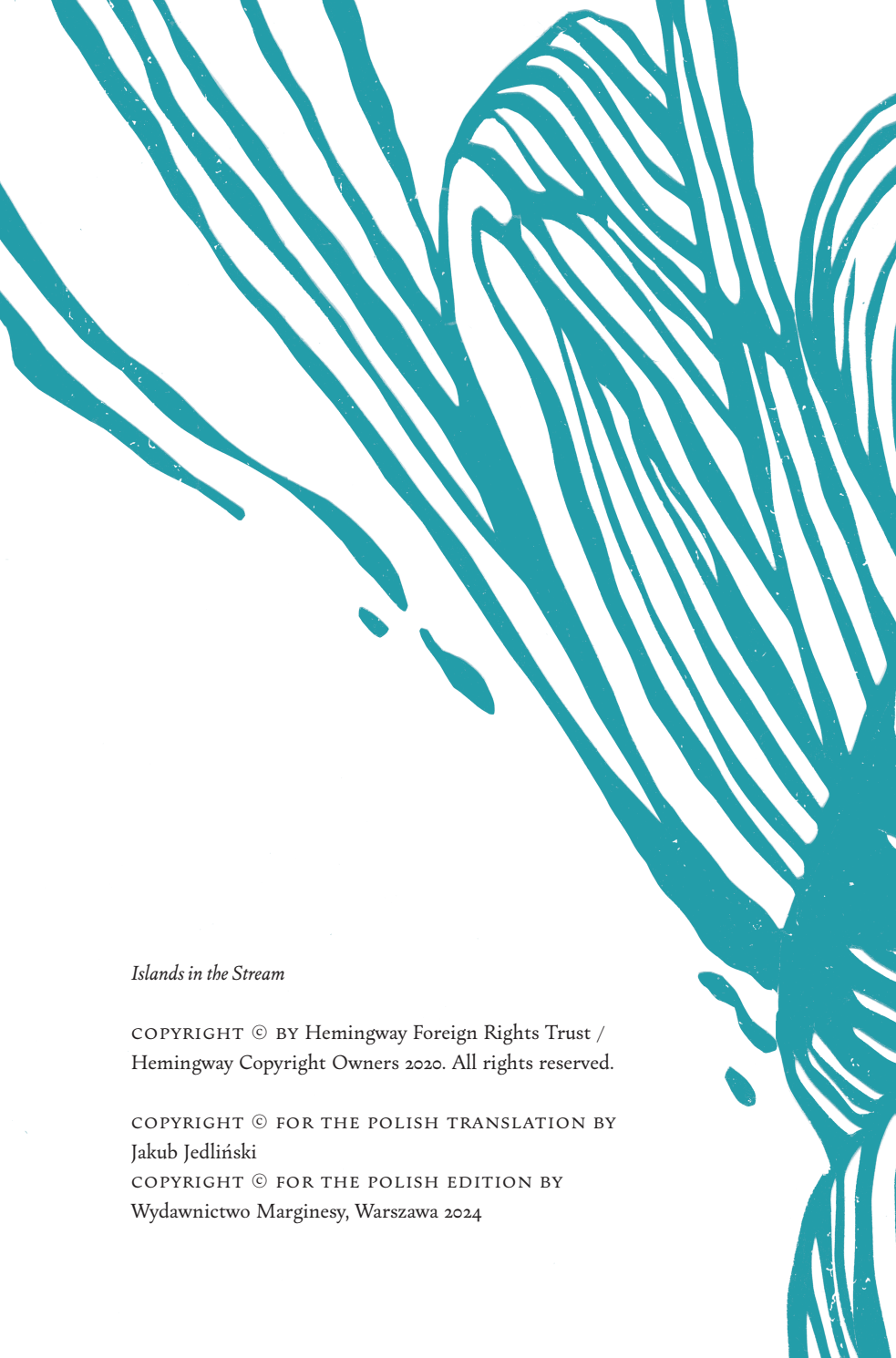


# ERNEST HEMINGWAY

## Wyspy na Golsztromie

Przełożył Jakub Jedliński

MARGINESY



*Islands in the Stream*

COPYRIGHT © BY Hemingway Foreign Rights Trust /  
Hemingway Copyright Owners 2020. All rights reserved.

COPYRIGHT © FOR THE POLISH TRANSLATION BY  
Jakub Jedliński

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY  
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2024



Część pierwsza

**Bimini**

Dom stał w najwyższej części wąskiego cypla, między portem a otwartym oceanem. Przetrwał trzy huragany i był solidny niczym łódź. Skrywał się w cieniu wysokich, wygiętych pasatami palm kokosowych, a drzwi od strony morza pozwalały zejść z klifu wprost na biały piasek i do Golfsztromu. Woda, gdy w bezwietrzny dzień patrzyło się na nią z lądu, zwykle miała tu barwę ciemnobłękitną, ale kiedy się weszło do zatoki, pozostawał tylko zielony blask ponad białym, drobnym jak mąka piaskiem i z oddali można było dostrzec cień każdej dużej ryby, zanim jeszcze zbliżyła się do plaży.

W dzień było to miejsce bezpieczne i wyborne do kąpieli, ale nocą nie dało się tu pływać. Rekiny tropiące zdobycz na rubieżach Golfsztromu po zmroku podpływały do plaży i w cichej nocy do górnej werandy domu dobiegał odgłos trzepotania ryb, na które polowały, a jeśli zeszło się na brzeg, na wodzie dało się dojrzeć fosforyzujące smugi pozostawiane przez drapieżniki. Nocą rekiny niczego się nie bały, a wszystko się ich bało. Za to w dzień zazwyczaj nie zbliżały się do czystego białego piasku, a jeśli jakiś nadpływał, wystarczająco wcześniej można było zauważyć jego odległy cień.

Przez większą część roku w domu na wyspie mieszkał i pracował człowiek, który nazywał się Thomas Hudson i był

dobrym malarzem. Gdy żyje się dość długo na tej szerokości geograficznej, następujące po sobie pory roku stają się równie ważne jak w każdym innym miejscu i Thomas Hudson, który kochał wyspę, nie chciał stracić żadnej tutejszej wiosny ani żadnego tutejszego lata, żadnej jesieni czy zimy.

Czasem, gdy w sierpniu ustawał wiatr albo w czerwcu i lipcu cichły pasaty – lato stawało się zbyt upalne. We wrześniu, październiku, a nawet na początku listopada pojawiały się huragany, a począwszy od czerwca zdarzały się nagłe tropikalne burze. Nawet jednak w nawiedzanych przez huragany miesiącach w spokojne dni pogoda jest tu wspaniała.

Thomas Hudson od lat studiował burze tropikalne i na długo przed barometrem, obserwując jedynie niebo, potrafił przewidzieć nadejście sztormu. Umiał obliczyć odległość burzy i wiedział, jak się przed nią zabezpieczyć. Wiedział też, co znaczy przeżyć huragan z innymi ludźmi na wyspie, i znał więzi, jakie żywił między tymi, którzy go doświadczyli. Wiedział także, że bywają szkwały tak groźne, że nic nie jest w stanie ich przetrwać. Zawsze myślał jednak, że chciałby tu być, gdy nadejdzie ten najstraszniejszy, i pozwolić wichrowi, żeby zmiotł go z powierzchni ziemi razem z domem.

Dom miał w sobie niemal tyle samo z łodzi co z domu. Wzniesiono go w takim miejscu, by stawiał czoło sztormom i stanowił jakby część wyspy – mimo to wszystkie jego okna wychodziły na morze, a przewiew zapewniał rześkie powietrze i dobry sen nawet w najbardziej upalnej nocy. Miał pobielone ściany, więc latem dawał chłód i był z daleka widoczny na zatoce. Był najwyższym punktem na wyspie, jeśli nie liczyć długiego rzędu kazuaryn, które pojawiały się jako pierwsze, kiedy wyspa wyłaniała się z morza. Chwilę po ciemnej plamie drzew nad linią oceanu wyrastał biały masyw domu. Później, stop-

niowo, ukazywała się wyspa w całej swej długości, z palmami kokosowymi, domami szalowanymi deskami, białym pasmem plaży oraz zielenią jawiącej się w tle Wyspy Południowej. Widok domu za każdym razem uszczęśliwiał Thomasa Hudsona. Zawsze też w myślach nazywał swoje domostwo „ona”, jakby było łodzią. Zimą, kiedy wiały wichry z północy i robiło się naprawdę zimno, dom zapewniał ciepło i wygodę, ponieważ jako jedyny na wyspie miał kominek. Wyposażono go w duże, otwarte palenisko, w którym Thomas Hudson palił drewnem wyrzuconym przez fale na brzeg.

Pod południową ścianą domu trzymał duży stos tego drewna. Było ono zbielełe od słońca, wygładzone piaskiem i wiatrem, a kawałki w różnych kształtach sprawiały Hudsonowi tak wielką radość, że czasem z przykrością myślał o ich spaleniu. Po każdym wielkim sztormie morze jednak znów wyrzucało nowe drewno na plażę, więc ostatecznie czerpał przyjemność z palenia nawet tych kawałków, które mu się podobały. Wiedział, że woda wyrzeźbi nowe, w chłodne noce siadał zatem w fotelu przed ogniem, czytał przy lampie stojącej na masywnym stole z desek i od czasu do czasu podnosił wzrok znad książki, żeby posłuchać wyjącego na zewnątrz północno-zachodniego wiatru oraz huku bałwanów i zapatrzyć się na duże, zbielełe, płonące polana.

Czasem gasił lampę, kładł się na dywanie i wpatrywał w barwne obwódki, które sól morska i piasek z palącego się drewna tworzyły wokół płomieni. Kiedy leżał na podłodze, jego oczy znajdowały się dokładnie na poziomie ognia, mógł więc obserwować zarys płomienia wychodzącego z drewna i czuł wtedy jednocześnie smutek i szczęście. Każde ognisko działało na niego w taki sposób. Ale ogień z drewna przynoszonego przez morze wywierał na niego szczególny, nie do

końca określony wpływ. Myślał, że wrzucanie tych kawałków do ognia musi być złe, skoro tak bardzo mu się podobają, nie miał jednak z tego powodu wyrzutów sumienia.

Leżąc na podłodze, czuł uderzenia wiatru, choć w rzeczywistości wicher chłostał niższe partie domu, a jeszcze niżej trawę, korzenie roślin i zielsk nadmorskich oraz sam piasek. Wyczuwał dudnienie bałwanów, przypominające mu huk ognia ciężkiej broni z czasów, gdy dawno temu, jeszcze jako chłopak, leżał na ziemi blisko jakiejś baterii.

Kominek w zimie był czymś wspaniałym i przez wszystkie inne miesiące Hudson spoglądał na niego z sympatią, myśląc o tym, jak to będzie, gdy znów nadejdzie pora chłodów. Zima stanowiła najlepszy okres na wyspie, toteż czekał na nią przez pozostałą część roku.

Zima dobiegła końca i wiosna niemal już minęła, kiedy na wyspę przyjechali trzej synowie Thomasa Hudsona. Ustalono, że chłopcy spotkają się w Nowym Jorku, razem odbędą część podróży pociągiem, a następnie przylecą z kontynentu samolotem. Matka dwóch spośród chłopców jak zwykle robiła trudności. Zaplanowała wyjazd do Europy, nie uprzedziwszy oczywiście o tym ich ojca, i chciała, żeby synowie z nią spędzili całe lato. Mógł mieć ich na ferie zimowe – rzecz jasna po świętach. Boże Narodzenie należało do niej.

Był to znany już Thomasowi Hudsonowi układ, który jak zwykle zakończył się kompromisem. Dwaj młodszy chłopcy mieli spędzić pięć tygodni na wyspie u ojca, a potem wypłynąć z Nowego Jorku statkiem francuskich linii, w klasie studenckiej, aby spotkać się z matką w Paryżu i tam uzupełnić garderobę. Podróż mieli odbyć pod opieką starszego brata, młodego Toma. Chłopak później zamierzał odwiedzić swą matkę, która kręciła film na południu Francji.

Matka młodego Toma nie nalegała, żeby przyjeżdżał, i nie miałyby nic przeciwko temu, by chłopak został u ojca na wyspie. Cieszyła się jednak, że go zobaczy, był to więc sensowny kompromis wobec nieprzejednanej decyzji matki młodszych synów. Była piękną i czarującą kobietą, która za nic nie zmieniłaby swych



planów. Niczym dobry generał zawsze planowała w tajemnicy i realizowała swoje zamierzenia z żelazną konsekwencją. Kompromis był możliwy. Ale nigdy zasadnicza zmiana planu, bez względu na to, czy tenże plan został ustanowiony w nieprzespaną noc, burzliwy poranek czy wieczór zaprawiany dżinem.

Plan był planem, a podjęta decyzja – ostateczna, o czym Thomas Hudson przekonał się w trakcie rozwodu, cieszył się zatem z osiągniętego kompromisu oraz z tego, że chłopcy przyjadą do niego na pięć tygodni. Skoro możemy dostać pięć tygodni, myślał, to niech i tak będzie. Pięć tygodni spędzone z tymi, których kochasz i z którymi chciałbyś być na zawsze, to nie tak znów mało. Dlaczego w ogóle rzuciłem matkę Toma? Lepiej się nad tym nie zastanawiać, powiedział sobie. To jest jedna z tych rzeczy, których lepiej nie roztrząsać. Z drugą żoną masz przecież wspaniałych synów. Osobliwe to i zagmatwane, a sam wiesz, jak dużo dobrych cech po niej odziedziczyli. To znakomita kobieta i od niej też nie trzeba było odchodzić. A później stwierdził: Tak. Ale musiałem.

Nie martwił się jednak zbyt tym wszystkim. Już dawno temu przestał się martwić i – na tyle, na ile mu się to udawało – zagłuszał poczucie winy pracą. Teraz liczyło się tylko to, że chłopcy przyjadą i mają mieć udane letnie wakacje. Do pracy wróci później.

Prawie wszystko, poza dziećmi, potrafił zastąpić pracą i statecznym, zwyczajnym aktywnym życiem, jakie stworzył sobie na wyspie. Wierzył, że dokonał tam czegoś trwałego, co go utrzyma na miejscu. Teraz, kiedy tęskno mu było do Paryża, wspominał Paryż, zamiast do niego jechać. To samo dotyczyło całej Europy oraz większości Azji i Afryki.

Przypominał sobie, co Renoir powiedział, kiedy usłyszał, że Gauguin pojechał malować na Tahiti: „Po co wydaje tyle

pieniędzy i jedzie tak daleko, skoro tak dobrze maluje się tutaj, w Batignolles”. Po francusku brzmi to lepiej: *quand on peint si bien aux Batignolles*, a Thomas Hudson myślał o wyspie jako o swojej *quartier*, zadomowił się tu, znał swoich sąsiadów i pracował równie ciężko jak niegdyś w Paryżu, kiedy młody Tom był jeszcze małym dzieckiem.

Czasem opuszczał wyspę, by łowić ryby u brzegów Kuby albo jesienią pójść w góry. Ale wydzierżawił ranczo, które miał w Montanie, ponieważ najlepszymi porami roku były tam lato i jesień, a teraz jesienią chłopcy zawsze szli do szkoły.

Zdarzało się, że musiał jechać do Nowego Jorku spotkać się ze swoim marszandem. Ostatnio częściej jednak to marszand przyjeżdżał na wyspę zobaczyć się z nim i zabrać płótna na północ. Hudson zdobył dobrą pozycję jako malarz, darzono go szacunkiem zarówno w Europie, jak i we własnym kraju. Regularne dochody zapewniała mu dzierżawa terenów naftowych należących kiedyś do jego dziadka. Były to pastwiska, więc po sprzedaży zachował prawa do znajdujących się tam złóż mineralnych. Mniej więcej połowa tych pieniędzy szła na alimenty, ale pozostała część dawała mu zabezpieczenie, dzięki któremu mógł malować tylko to, co chciał, i nie ulegać naciskom rynku. Mógł też mieszkać, gdzie chciał, i podróżować, kiedy miał na to ochotę.

Odnosił sukces niemal we wszystkim – choć nigdy naprawdę o to nie dbał – z wyjątkiem życia małżeńskiego. Prawdziwie zależało mu tylko na malarstwie i dzieciach, nadal był również zakochany w kobiecie będącej jego pierwszą miłością. Od tamtej pory kochał jeszcze wiele kobiet, czasem też któraś do niego przyjeżdżała, żeby dłużej z nim zostać na wyspie. Potrzebował obecności kobiet i przez jakiś czas przyjmował je z zadowoleniem. Ich towarzystwo sprawiało mu przyjemność,

niekiedy nawet przez dłuższą chwilę. Koniec końców zawsze był jednak zadowolony, gdy wyjeżdżały – także te, które bardzo polubił. Nauczył się nie kłócić z kobietami i wiedział już, co zrobić, żeby się nie żenić. Te umiejętności były dla niego niemal równie trudne do opanowania jak pozostawanie w jednym miejscu czy nieprzerwana, dobrze zorganizowana praca. Ale udało mu się je osiągnąć i żywił nadzieję, że zdobył je raz na zawsze. Malować umiał od dawna i wierzył, że z każdym rokiem pogłębiał swoją wiedzę. Lecz nie było mu łatwo się ustatkować i pracować w sposób zdyscyplinowany, ponieważ miał w życiu okres, kiedy nie podlegał żadnej dyscyplinie. Nigdy nie był całkowicie nieodpowiedzialny, ale bywał niezdiscyplinowany, egoistyczny i bezwzględny. Wiedział o tym, nie tylko dlatego, że wiele kobiet mu to mówiło – sam też to w końcu odkrył. Postanowił wówczas, że będzie samolubny tylko w malarstwie, bezwzględny w pracy, zdyscyplinuje sam siebie i zaakceptuje dyscyplinę.

Miał zamiar korzystać z życia w granicach tej samodyscypliny i wytrwale pracować. Dziś był szczęśliwy, bo rano przyjeżdżały jego dzieci.

– Panie Tom, potrzebuje pan jeszcze czegoś? – zapytał go służący Joseph. – Kończy pan już na dziś?

Joseph był wysoki, miał bardzo długą, bardzo czarną twarz, duże dłonie i stopy. Nosił białą kurtkę, spodnie i chodził boso.

– Dziękuję, Josephie, chyba już niczego nie potrzebuję.

– Mały džin z tonikiem?

– Nie. Chyba zejdę na jednego do Bobby'ego.

– Niech pan wypije tutaj. Wyjdzie taniej. Pan Bobby był w złym nastroju, kiedy tamtędy przechodziłem. Mówi, że za dużo mieszanych drinków. Jakaś kobieta z jachtu zamówiła coś, co się nazywa White Lady, a on podał jej butelkę tej amery-

kańskiej wody mineralnej z etykietką ukazującą siedzącą nad źródłem panią ubraną jakby w moskitierę.

– Lepiej pójdę na dół.

– Wpierw zrobię panu drinka. Pilot łodzi przywiózł pocztę. Przeczyta pan listy przy drinku, a potem zejdzie do Bobby'ego.

– W porządku.

– To dobrze – odparł Joseph. – Bo już zrobiłem tego drinka. Te listy to chyba nic ważnego.

– Gdzie one są?

– Na dole, w kuchni. Przyniosę. Dwa są zaadresowane kobiecym pismem. Jeden z Nowego Jorku. Jeden z Palm Beach. Ładnie zaadresowane. I jeden od tego pana, który sprzedaje pańskie obrazy. I jeszcze kilka od nie wiem kogo.

– Chcesz na nie odpowiedzieć za mnie?

– Tak, proszę pana, jeśli ma pan takie życzenie, jestem niepomernie wyedukowany.

– Lepiej już przynieś mi te listy na górę.

– Tak, panie Tom. Jest też gazeta.

– Zachowaj ją, proszę, do śniadania.

Thomas Hudson usiadł i zaczął czytać pocztę, sącząc zimnego drinka. Jeden list przeczytał dwukrotnie, a potem wszystkie włożył do szuflady biurka.

– Josephie – zawołał – przygotowałeś już wszystko na przyjazd chłopców?

– Tak, panie Tom. I dwie dodatkowe skrzynki coli. Młody Tom musi chyba być już teraz większy ode mnie?

– Jeszcze nie.

– Myśli pan, że da radę mi wlać?

– Chyba nie.

– Tyle razy po służbie biłem się z tym chłopakiem – powiedział Joseph. – Mówić do niego „pan” to dopiero będzie

ubaw. Pan Tom, pan David i pan Andrew. Nie znam równie cholernie klawych chłopaków. A najbardziej Andy.

– Od początku taki był – odparł Thomas Hudson.

– I słowo daję, dalej jest! – powiedział z podziwem Joseph.

– Tego lata dasz im dobry przykład.

– Niech pan nie każe mi dawać im przykładu tego lata. To mogło być trzy, cztery lata temu, kiedy jeszcze niewiele wiedziałem. Teraz to ja mam zamiar wzorować się na Tomie. On chodzi do znakomitej szkoły i ma znakomicie dobre maniery. Nie mogę wyglądać dokładnie tak jak on. Ale mogę się zachowywać jak on. Uprzejmie, ale swobodnie i naturalnie. Poza tym mam zamiar być taki mądry jak Dave. To najtrudniejsza część planu. A potem chcę się dowiedzieć, jak Andy stał się taki uszczypliwy.

– Nie zamierzasz chyba tutaj być uszczypliwy.

– Nie, panie Tom, pan mnie źle zrozumiał. To na po służbie.

– Dobrze będzie znów ich tu mieć, prawda?

– Panie Tom, nic nie może się równać z wielkim pożarem, który wywołali. To było jak drugie przyjście. Pan pyta, czy będzie dobrze. A jak ma być?

– No cóż, muszę wymyślić dla nich sporo zajęć, żeby się dobrze bawili.

– Nie, panie Tom – odrzekł Joseph. – Musimy wymyślić, jak ich uchronić przed ich własnymi potwornymi pomysłami. Eddy może nam pomóc. Zna tych chłopców lepiej ode mnie. Ja się z nimi przyjaźnię i to komplikuje sprawy.

– A jak się ma Eddy?

– Trochę wypił, wyczekując urodzin królowej. Jest w świetnej formie.

– Pójdę lepiej do Bobby'ego, dopóki jest w złym humorze.

– Pytał o pana. Jeśli w ogóle istnieje ktoś taki jak dzentelmen, to pan Bobby nim jest, i czasem przygnębia go ta hałastrą,

która przy pływa na jachtach. Był strasznie przygnębiony, kiedy wychodziłem.

- A co tam robiłeś?

- Wszedłem po colę i zagrałem w bilard, żeby nie wyjść z formy.

- Jak stół?

- Gorszy.

- Pójdę na dół - powiedział Thomas Hudson. - Wezmę prysznic i się przebiorę.

- Ubranie położyłem na pana łóżku - oznajmił Joseph. - Chce pan jeszcze jeden dzin z tonikiem?

- Nie, dziękuję.

- Pan Roger jest na łodzi.

- To dobrze. Wpadnę do niego.

- Zatrzyma się tu?

- Może.

- Na wszelki wypadek pościelę więc łóżko.

- Dobrze.

Thomas Hudson wziął prysznic, wyszorował głowę mydłem, a potem splukał ostrym strumieniem wody. Był dużym mężczyzną, a nagi wydawał się jeszcze większy niż w ubraniu. Miał bardzo ogorzałą skórę i spłowiałe od słońca, przeplatane jaśniejszymi kosmykami włosy. Nie miał zbędnych kilogramów, waga wskazywała sto dziewięćdziesiąt dwa funty.

Trzeba było wcześniej popływać, pomyślał. Ale długo pływałem rano przed pracą i jestem zmęczony. Napływam się, kiedy przyjadą chłopcy. I Roger jest. To dobrze.

Włożył świeże szorty, starą baskijską koszulę, wyszedł z domu i zszedł z klifu do bramy w parkanie, gdzie czekał na niego oślepiający blask King's Highway wyłożonej wybielonym przez słońce koralem.

Zobaczył przed sobą starego Murzyna w czarnej kamizelce z alpaki i ciemnych wyprasowanych spodniach, który wyszedł z jednego z przydrożnych, ocienionych dwoma wysokimi palami baraków z surowych desek i wyprostowany jak struna kroczył ulicą. Kiedy skręcał, Thomas Hudson dojrzał jego piękny czarny profil.

Za chaty dobiegł go dziecięcy głos śpiewający drwiąco na staroangielską melodię słowa:

*Ach, wujcio Edzio przyjechał z Nassau  
Sprzedawać cukierki na wagę.  
Ja kupię trochę i P.H. kupi,  
Na cuksy mamy ochotę.*

Wujek Edward zwrócił ku jasnemu popołudniowemu słońcu swoją przystojną twarz, na której malowały się smutek i złość.

– Znam cię – powiedział. – Nie widzę cię, ale wiem, kim jesteś. Zgłoszę to konstablowi.

Dzieciak śpiewał dalej jasnym, wesołym głosikiem:

*Och, wujciu Edziu,  
Och, wujciu Edziu,  
Tyś twardy, hardy, niezdarty,  
Lecz cuksy twe całkiem zjełczałe.*

– Konstabl się o tym dowie – zagroził wujek Edward. – Już on będzie wiedział, jakie podjąć kroki.

– Masz dziś jakieś zjełczałe cukierki, wujciu Edziu? – zawołało dziecko, które cały czas się przed nim ukrywało.

– Prześladowaj człowieka! – krzyknął wuj Edward. – Szargają i kalają szatę jego godności. O Boże miłosiwy, wybacz im, bo nie wiedzą, co czynią.

Przy King's Highway dochodziły też śpiewy z pokojów nad Ponce de León. Nagle koralową ulicą nadbiegł czarny chłopak.

– Panie Tom, ależ była chryja! – krzyknął. – Jeden pan z jachtu ciskał rzeczami przez okno.

– Jakimi rzeczami, Louisie?

– A co mu się nawinęło. Rzucił wszystkim, co mu wpadło w ręce. Jak pani próbowała go powstrzymać, to zagroził, że ją też wyrzuci.



– Skąd on jest?

– To taka gruba szycha z północy. Twierdzi, że może kupić i sprzedać całą wyspę. Jak będzie się tak dalej awanturował, to pewnie dostanie ją tanio.

– Konstabl się nim zajął?

– Nie, panie Tom. Nikt jeszcze nie wezwał konstabla. Ale wszyscy już myślą, że najwyższy czas, żeby się pojawił.

– Jesteś z nimi? Potrzebuję przynęt na jutro.

– Będę miał przynęty. Niech pana o to głowa nie boli. Tak, jestem z nimi. Wynajęli mnie, żebym wziął ich na albule. Odtąd byłem z nimi. Tyle że oni wcale nie wypłynęli łowić. Nic z tych rzeczy. Cały czas tylko rzucanie talerzami, filiżankami, kubkami i krzesłami, a za każdym razem, jak pan Bobby przynosi mu rachunek, to ten mężczyzna go drze i mówi panu Bobby'emu, że jest bandyckim złodziejem i sukinsynem, a całe te albule to jedno wielkie oszustwo.

– Można pomyśleć, że to dość trudny człowiek.

– Panie Tom, ten człowiek to największa cholera, jaką w życiu widziałeś. Kazał mi śpiewać. Wie pan, że nie umiem śpiewać tak dobrze jak Josey, ale daję z siebie wszystko i czasem śpiewam l e p i e j, niż potrafię. Śpiewam tak d o b r z e, jak umiem. Sam pan wie. Słyszał mnie pan. A on tylko chciał słuchać tej piosnki, że mama nie chce grochu, ryżu ani oleju kokosowego. I tak w kółko. To stara piosenka i w końcu mnie to znużyło, więc mu powiedziałem: „Proszę pana, znam też n o w e p i o s e n k i. Dobre piosenki. Fajne piosenki. I umiem także stare, takie jak ta o śmierci Johna Jacoba Astora na Titanicu zatopionym przez lodowiec, i wolałbym je śpiewać niż ciągle o grochu i ryżu, jeśli pan sobie życzy”. Zaproponowałem to uprzejmie i miło. Sam pan przecież wie. A on na to: „Słuchaj no, ty głupi czarny gnojku, mam więcej sklepów, fabryk i gazet niż

John Jacob Astor nocników do swojej... – no sam pan wie – i zaraz wcisnę ci te nocniki na łepetynę, jeśli będziesz mnie pouczał, czego mam słuchać”. I wtedy odezwała się ta pani: „Kochanie, czy naprawdę musisz być taki niemiły dla tego chłopca? Myślę, że bardzo ładnie śpiewa, i chętnie posłuchałabym sobie kilku nowych piosenek”. A wtedy on do niej powiedział: „Słuchaj no, nie posłuchasz ich s o b i e, bo o n ich nie będzie śpiewał”. Panie Tom, on jest jakiś dziwny. Ale jego żona odparła tylko: „Och, kochanie, ty jesteś taki trudny”. Panie Tom, on jest trudniejszy od silnika dieslowskiego dla noworodka małpki drzewnej, co ledwie przyszła na świat. Niech pan wybaczy, jeśli się rozgadałem. Jestem rozczłonny. A jej było przykro przez niego.

– I co zrobisz, Louisie?

– Poszedłem po perły konchowe.

Zatrzymali się w cieniu palmy, a Louis, nie przerywając opowieści, wyjął z kieszeni kawałek dość czystej chusteczki, rozwinął ją i pokazał kilka połyskliwych, opalizujących na różowo pereł, zupełnie niepodobnych do tych, które krajowcy czasem znajdują podczas czyszczenia muszli i których żadna kobieta, jaką znał Thomas Hudson – z wyjątkiem angielskiej królowej Marii – nie doceniła jako prezentu. Rzecz jasna Thomas Hudson nie mógł twierdzić, że rzeczywiście zna królową Marię, widywał tylko jej zdjęcia w gazetach, wizerunki i profile w „New Yorkerze”, to jednak, że podobały jej się perły konchowe, dawało mu poczucie, iż wie o niej więcej niż o wielu starych znajomych. Królowa Maria lubiła perły konchowe, a dziś wieczorem na wyspie miano świętować jej urodziny, pomyślał, ale obawiał się, że te perły zbyttnio nie poprawią humoru kobiecie z jachtu. Być może królowa Maria też mówiła, że ceni perły konchowe, tylko po to, żeby przypodobać się swoim poddanym na Bahamach.

Poszli w stronę Ponce de León, a Louise opowiadał dalej:

– A jak ta pani szlochała. Płakała gorzkimi łzami, panie Tom. Zaproponowałem więc, że skoczę do Roya i przyniosę jej trochę pereł do obejrzenia.

– To powinno ją pocieszyć – powiedział Thomas Hudson. – O ile lubi perły konchowe.

– Taką mam nadzieję. Pójdę już do niej.

Thomas Hudson wszedł do chłodnego baru, gdzie po jasnym słonecznym blasku na drodze koralowej wydawało się niemal zupełnie ciemno, zamówił szklankę dżinu z tonikiem z kawałkiem skórki limonki i kilka kropelkami angostury. Rozzłoszczony Bobby stał za barem. Czterech czarnoskórych chłopaków grało w bilard, czasem podwyższali stół, żeby wykonać trudny karambol. Śpiewy na piętrze ustały i w sali zrobiło się bardzo cicho, jeśli nie liczyć dźwięku odbijanych kul. Przy barze znajdowało się dwóch członków załogi przycumowanego w porcie jachtu, a kiedy Thomas Hudson przywykł do braku światła, to ciemne miejsce zdało mu się chłodne i przyjemne. Z góry zszedł Louise.

– Ten pan śpi – powiedział. – Zostawiłem perły pani. Ogląda je i płacze.

Hudson zauważył, że marynarze z jachtu patrzą po sobie, ale się nie odzywają. Stał przy barze ze szklanką przyjemnie gorzkawego drinka w dłoni i kosztując pierwszy łyk napoju, wspominał Tangę, Mombasę, Lamu oraz całe wybrzeże i nagle poczuł tęsknotę za Afryką. Osiadł wprawdzie na tej wyspie, lecz równie dobrze mógł być też w Afryce. Do diabła, pomyślał, zawsze jeszcze mogę tam pojechać. Gdziekolwiek jesteś, musisz nadać temu kształt we własnym wnętrzu. Tu doszedłeś w tym do wprawy.

– Tom, naprawdę ci to smakuje? – zagadnął Bobby.

– Pewnie. Inaczej bym nie pił.

– Raz przez pomyłkę otworzyłem butelkę i ma to posmak chininy.

– Bo w tym jest chinina.

– Ludziom już zupełnie poprzewracało się w głowach – odrzekł Bobby. – Człowiek może pić, co chce. Stać go, sprawiłby sobie jakąś przyjemność, ale nie, on psuje dobry džin, robiąc z niego jakiś hinduski drink z chininą.

– Mnie to smakuje. Lubię ten posmak chininy ze skórką limonki. To chyba otwiera jakieś pory w żołądku czy coś. Daje mi to większego kopa niż jakikolwiek inny drink. Dobrze się po tym czuję.

– Wiem. Picie zawsze poprawia ci humor. Ja po alkoholu czuję się paskudnie. A gdzie Roger?

Roger był przyjacielem Thomasa Hudsona i miał rybacką chatkę w odleglejszej części wyspy.

– Powinien się niedługo zjawić. Zjemy coś z Johnnym Goodnerem.

– Nie rozumiem, co tacy ludzie jak ty, Roger Davis i Johnny Goodner jeszcze robią na tej wyspie.

– To dobra wyspa. Ty też tu zostajesz, nie?

– Ja tu zarabiam na życie.

– Równie dobrze mógłbyś zarabiać w Nassau.

– Nassau, niech je diabli. Tu jest zabawniej. To dobra wyspa, żeby się rozerwać. Można tu też niezłe zarobić.

– Mnie także się tu podoba.

– A pewnie – odparł Bobby. – I mnie. Przecież sam wiesz. Skoro mogę tu zarobić na życie. A te obrazy, które bez przerwy malujesz, sprzedają się jakoś?

– Sprzedają się całkiem niezłe.

– I ludzie płacą za te twoje portrety wuja Edwarda? Murzynów w wodzie. Murzynów na łodzi. Murzynów w łodziach.

Widoczki z łodziami do poławiania żółwi. Łodziami do poławiania gąbek. Zbierającym szkwałem. Trąbami wodnymi. Wrakami szkunerów. Budową szkunerów? Wszystko to mogliby zobaczyć za darmo. To naprawdę się sprzedaje?

– Jasne. Wystarczy, że raz w roku zrobię wystawę w Nowym Jorku.

– Wystawiasz je na aukcji?

– Nie, wycenia je marszand, który organizuje pokaz. I ludzie kupują te obrazy. Czasem muzea.

– A ty sam możesz je sprzedawać?

– Pewnie.

– Kupiłbym taką trąbę wodną – powiedział Bobby. – Cholernie olbrzymią trąbę nad oceanem. Czarną jak samo piekło. A może lepiej dwie trąby, sunące nad płycznami z ogłuszającym rykiem. Takie, co wsysają całą wodę na swojej drodze i budzą śmiertelną grozę. I żeby tam był, w czasie łowienia gąbek w dingi, zupełnie bezbronny. Trąba wyrywa mi z rąk wodowskaz. Niemal wsysa dingi. Jest piekielnym narzędziem w rękę Boga. Ile coś takiego by kosztowało? Mógłbym tutaj powiesić ten obraz. Albo na górze, w domu, tylko żeby moja stara nie złąkała się na śmierć.

– Cena zależałaby od wielkości.

– Maluj, jak ci wygodnie – powiedział Bobby z pańska. – Taki cholernie dobry obraz nigdy nie będzie za duży. Daj trzy trąby wodne. Jednego razu przy wyspie Andros widziałem trzy trąby, były bliżej siebie niż te dwie przeciwległe ściany. Sięgały do nieba i jedna wessała łódkę poławiacza gąbek, a kiedy spadła, motor wyleciał przez dziurę w kadłubie.

– Kosztowałyby cię to tyle, co płótno – stwierdził Thomas Hudson. – Policzylibym ci tylko za płótno.

– Niech mnie diabli, weźże więc duże płótno! – krzyknął Bobby. – Namalujemy takie trąby, że ludzie struchleją ze strachu nie tylko w tym barze, ale i na całej tej cholernej wyspie.

Rozmach tego przedsięwzięcia zrobił na nim wrażenie, uważał jednak, że wszystkie możliwości stoją jeszcze przed nim otworem.

– Tom, chłopie, a myślisz, że dałbyś radę namalować wielką nawałnicę? W samym oku cyklonu, kiedy dmie z jednej strony, cichnie i znów zrywa się z drugiej. Namalujesz wszystko, od Murzynów przywiązanych do palm po statki wyrzucone przez wiatr w głąb wyspy? I wielki hotel zmiotany z powierzchni ziemi. I bale unoszone przez wicher jak zapałki, i martwe pelikany spadające niczym deszcz. Niech barometr wskazuje dwadzieścia siedem, a prędkości wiatru nawet nie da się zmierzyć. Niech fale na morzu rozbijają się o skały zanurzone dziesięć sążni pod wodą, a księżyc pojawi się w samym oku cyklonu. Niech przyjdzie fala pływowa i zatopi wszystko, co znajdzie się na jej drodze. Niech wicher ciska do morza nagie kobiety, z których żywioł zerwał ubrania. I wszędzie – na wodzie i w powietrzu – unoszą się ciała martwych Murzynów...

– To będzie strasznie duże płótno – zauważył Thomas Hudson.

– Do diabła z płótnem! – zawołał Bobby. – Zdobędę główny żagiel ze szkunera. Namalujemy najwspanialsze cholerne obrazy na świecie i razem przejdziemy do historii. Zawsze malowałeś tylko te proste obrazeczki.

– Zacznę od trąb wodnych – powiedział Thomas Hudson.

– Zgoda – odparł Bobby, zły, że sprowadzono go na ziemię. – To ma sens. Ale niech mnie kule, z naszą wiedzą i twoim doświadczeniem moglibyśmy stworzyć wspaniałe płótna.

– Jutro zacznę malować trąby.

– W porządku – odrzekł Bobby. – To na początek. Ale niech mnie kule, chciałbym, żebyśmy namalowali też ten szkwał. Czy ktoś już namalował zatonięcie Titanica?

– Nie w naprawdę dużych rozmiarach.

– Moglibyśmy więc to namalować. Ten temat zawsze działał mi na wyobraźnię. Oddać lodowaty spokój góry lodowej oddalającej się po uderzeniu. Wszystko to spowite gęstą mgłą. Uchwycić każdy szczegół. Tego mężczyznę, co zabrał się z kobietami do szalupy ratunkowej, bo uważał, że jako żeglarz może im pomóc. Pokazać, jak wsiadając, depcze po tych kobietach. Kojarzy mi się z nim ten facet, którego mamy na górze. Może byś wszedł na piętro naszkicować go, jak śpi, a potem wykorzystał do obrazu?

– Chyba lepiej już zacznę od tych trąb wodnych.

– Tom, ja chcę, żebyś został w i e l k i m artystą – powiedział Bobby. – Rzućże w cholerę całą tę drobnicę. Marnujesz się. W ciągu niespełna pół godziny naszkicowaliśmy tematy trzech obrazów, a ja dopiero się rozgrzewam. Co takiego dotychczas namalowałeś? Murzyna odwracającego na plaży żółwia karettę. To nawet nie był szylkret. Albo dwóch Murzynów w dingi mocujących się z siecią pełną homarów. Zmarnowałeś życie, człowieku! – Przerwał i nalał sobie spod lady jednego małego. – To się nie liczy – powiedział. – Nic nie widziałeś. Zrozum, Tom, to są trzy wspaniałe obrazy. Wielkie obrazy. Światowej rangi. Pasowałyby nawet do Pałacu Kryształowego razem ze wszystkimi innymi ponadczasowymi arcydziełami. Oczywiście poza pierwszym, to jest drobny temat. Ale jeszcze żeśmy nie zaczęli. Równie dobrze możemy namalować jeden, który będzie lepszy od nich wszystkich. Co o tym sądzisz? – Nalał sobie kolejnego małego.

– O czym?

Pochylił się nad ladą w obawie, że inni usłyszą.

– Nie pękaj, Tom – zaczął przekonywać. – Niechże cię nie obezwładnia skala tego przedsięwzięcia. Musisz mieć odpowiednią wizję swego dzieła. Możemy namalować koniec świata. – Zamilkł. – Pełnowymiarowy.

– Skaranie boskie... – powiedział Thomas Hudson.

– Nie. Kara boska to będzie później. Czeluści piekielne dopiero się otworzą. Rollersi wyprawiają harce w swojej świątyni na skarpie i mówią obcymi językami. A diabeł ładuje ich widłami na wóz. Oni krzyczą, jęczą i wzywają Jehowę. Murzyni zaś leżą pokotem, a węgorze, homary i kraby pełzają wkoło i po ich ciałach. Rozwiera się otchłań, do której diabli wleką i wypychają Murzynów, klechów i rollersów. Ocean wokół wyspy się podnosi i rekiny młoty, ostronosy, rekiny tygrysie, żarłacze krążą i polują na tych, którzy próbują uciec wpław przed widłami i bezkresną, rozwartą, ziejącą wyziewami otchłanią. Opijusy po raz ostatni pociągają z butelek i rzucają się na diabły. Ale one strącają ich widłami do czeluści albo pochłania ich wezbrane morze, gdzie rekiny wielorybie, żarłacze białe, orki i inne ogromne ryby krążą dookoła żarłaczy rozszarpujących ludzi. W najwyższym miejscu na wyspie zgromadziły się wszystkie tutejsze psy i koty, a diabli też te zwierzaki zagarniają widłami: psy kulą się ze strachu i wyją, koty zaś uciekają i ze zjeżoną sierścią rzucają się z pazurami na demony. W końcu i one ile sił w nogach uciekają do wody. Czasem któryś rekin dorwie jakiegoś kota i wtedy on znika pod wodą. Ale większości udaje się odpłynąć. Z otchłani wyziewa koszmarny gorąc i diabli muszą targać ludzi do dziury, bo wcześniej połamali widły, zagarniając klechów. Ty i ja stoimy w centrum obrazu, obserwując to wszystko ze spokojem. Ty robisz jakieś notatki,



a ja pokrzepiam się butelką i raz po raz daję ci łyk. W pewnym momencie jeden z diabłów, cały spocony od roboty, mija nas, wlekąc potężnego klechę, który próbuje uchwycić się piasku pazurami, żeby nie dać się wepchnąć do włazu, i drze się wniebogłoso, wzywając Jehowę, a diabeł zwraca się do nas: „Pan wybaczy, panie Tom. Pan wybaczy, panie Bobby. Mamy dziś ręce pełne roboty”. Proponuję drinka spoconemu, mijającemu nas z zaciętą miną diabłu, kiedy wraca po kolejnego klechę. Ale on odmawia: „Nie, dziękuję, panie Bobby. Nie tykam tego, kiedy pracuję”. To byłby sakramencki obraz, Tom, gdyby udało nam się uchwycić cały ten ruch i rozmach.

– No to chyba na razie mamy wszystko, co zdołalibyśmy namalować.

– Niech to diabli, myślę, że masz rację – odparł Bobby. – Od tego planowania zaschło mi w gardle.

– Jest taki malarz, nazywa się Bosch, który całkiem nieźle radzi sobie z tego rodzaju klimatami.

– To ten od magneto?

– Nie. Hieronim Bosch. Stary fachura. Bardzo dobry. Pieter Bruegel też nad tym pracował.

– To kolejny stary fachura?

– Bardzo stary. Bardzo dobry. Spodobałby ci się.

– Niech to diabli – odpowiedział Bobby. – Żaden stary fachura nas nie prześcignie. Poza tym jeszcze nigdy nie było końca świata, skąd, do cholery, miałyby wiedzieć na ten temat więcej od nas?

– Nie będzie łatwo go prześcignąć.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo – odparł Bobby. – Mamy obraz, przez który będzie musiał pożegnać się z tym biznesem.

– A co z tym drugim?

– No tak, cholera z tym. Zapomniałem, że to bar. Boże, chroń królową. Tom, zapomnieliśmy też, jaki dziś mamy dzień. Stawiam ci jednego i wypijmy za jej zdrowie.

Nalał sobie szklaneczkę rumu i podał Thomasowi Hudsonowi butelkę żółtego džinu Bootha, kilka limonek na talerzu, nóż i butelkę schweppesa.

– Sam sobie zrób swojego cholernego drinka. Niech diabli wezmą te fikuśne drinki.

Kiedy Thomas Hudson zmieszał drinka i doprawił paroma kroplami gorzkiej wódki z butelki, która miała pióro mewy w korku, uniósł szklankę i rozejrzał się po barze.

– Co tam, panowie, pijecie? Powiedzcie, jeśli to coś prostego.

– Dog's Head – powiedział jeden z marynarzy.

– Bardzo proszę, Dog's Head – powiedział Bobby, sięgając do lodówki, i wręczył im dwie butelki piwa. – Szklanki się skończyły. Opijusy codziennie rzucają szkłem. Każdy ma co pić? Panowie, zdrowie królowej. Nie sądzę, żeby darzyła tę wyspę wielkim poważaniem, i jestem pewny, że zdrowie jej teraz dopisuje. Mimo wszystko zdrowie królowej. Boże, chroń królową.

Wszyscy wypili zdrowie monarchini.

– To musi być wspaniała niewiasta – rzekł Bobby. – Choć jak na mój gust trochę sztywna. Zawsze podobała mi się za to królowa Aleksandra. Wspaniała kobieta. Ale postaramy się w jubileusz oddać królowej należyte honory. To jest niewielka wysepka, ale patriotyczna. Ludzie. Jeden gość stąd poszedł na ostatnią wojnę i stracił rękę. Trudno być większym patriotą.

– O czyich to urodzinach pan mówi? – zapytał jeden z marynarzy.

– Królowej Anglii, Marii – wyjaśnił Bobby. – Matki obecnego króla i cesarza.

- To ta, od której statek nazwano Queen Mary, nie? - spytał drugi marynarz.

- Tom - odezwał się Bobby. - Następny toast wzniesiemy sami, tylko ty i ja.